Sága rodu Hawlickich

Spotkać po latach swego nauczyciela — to tak, jak gdyby spotkać się raz jeszcze z własną młodością. Spotkanie takie zawsze wzrusza. Nie, nie tylko dlatego, że przypominają się nam owe pełne młodzieńczych porywów dni, nie tylko dlatego, że miało się wtedy „parenaście lat" i głowę pełną, jakże naiwnych często mrzonek i marzeń.

Każdy nauczyciel i ten najbardziej ulubiony i ten nazywany pokryjomu „niemiłosierną piłą", dał nam przecież cząstkę swojego „ja". Wyrzeźbił w naszych umysłach sercach i charakterach rysy, o których nie zawsze wiemy, że to Jego zasługa.

Wrażliwe młode umysły łatwo przyswajają sobie nie tylko wiedzę przekazywaną nam przez pedagoga, ale i wiele z cech jego charakteru. Ten oczywisty fakt zdwaja odpowiedzialność nauczyciela, nakłada nań szczególne obowiązki.

Chociaż Maksymilian Hawlicki nie był nigdy moim nauczycielem, jednak rozmawiając z tym nestorem nauczycielstwa polskiego, przeżywałem wzruszenia bardzo bliskie tym jakich doznajemy przy spotkaniu z „naszym" nauczycielem.

Jest w tym pogodnym, sędziwym nauczycielu tak wielka życzliwość i bezpośredniość, tak niezwykle ujmująca prostota, że nawet najbardziej „usztywniony" formalista nie mógłby nie ulec osobistemu czarowi profesora Hawlickiego.

I jeszcze coś W całej osobowości prof Hawlickiego jest tak wiele z nauczyciela, że nawet nie znając jego zawodu po prostu „czuje się w nim" pedagoga.

Siedzimy w przytulnym pokoiku, w którym każdy drobiazg mówi o jego właścicielu. Ale dziwna rzecz — chociaż każdy mebelek w tym pokoju zdaje się być antykiem „wypożyczonym" z muzeum, chociaż na ścianach wiszą portrety i fotografie pamiętające czasy Franciszka Józefa — całość tchnie jakąś pogodną i optymistyczną młodością.

„ŻYWA KRONIKA"

Wspominając jakieś daty, prof. Hawlicki wtrąca mimochodem:

— *Mam doskonałą pamięć, ale wiecie co — serdecznie nie lubię matematyki. Zawdzięczam to memu profesorowi. Człowiek ten chociaż świetnie znał przedmiot, jednak udzielał go w sposób tak niesłychanie nudny, że do dziś zachowałem uraz do algebry. I niech mi ktoś powie, że osobiste zalety nauczyciela nie mają wpływu na kształtowanie się zdolności i upodobań uczniów....*

Prof. Hawlicki jest doskonałym narratorem. Jakże zajmująco potrafi opowiadać o historii walk oświatowych w dawnej Galicji. Ba — jest o czym opowiadać skoro ma się za sobą ponad pół wieku pracy pedagogicznej i działalności związkowej. Przeszło mi przez myśl, że gdyby tak zebrać wszystkich uczniów prof. Hawlickiego uformowałaby się z tego niezgorsza armia ludzi reprezentujących niemal wszystkie zawody.

Słuchając opowiadania prof. Hawlickiego niesposób oprzeć się wrażeniu, że rozmawia się z „żywą kronika" nauczycielstwa polskiego minionego pięćdziesięciolecia. Ale, nie tylko „żywa kronika" jest prof. Hawlicki. Był też jednym z najbardziej ofiarnych bojowników o rozwój oświaty w czasach, kiedy słowo oświata należało do pojęć niemalże zakazanych.

NAUCZYCIELSKA PASJA ŻYCIA

O tym, jaki był stan oświaty w czasie zaboru austriackiego i następnie w okresie dwudziestolecia Polski sanacyjnej wiedzą wszyscy i nie ma chyba potrzeby na ten temat się rozpisywać. Ale jakże zajmująco potrafi o tym opowiedzieć prof. Hawlicki — nauczyciel, który całe swe życie poświęcił sprawie jakże trudnej w owych warunkach — walki o postęp i rozwój oświaty, poprawę warunków nauczycieli i zlikwidowanie ciemnoty i zacofania.

Trzeba było wielkiej miłości do zawodu, olbrzymiej pasji nauczycielskiej i społecznej, by z taką odwagą występować przeciw zarządzeniom CiK namiestników a później sanacyjnych „speców" od szerzenia ciemnoty.

— „Nie brykaj, bo cię zagryzą" — ostrzegali Hawlickiego koledzy. Jednak właśnie ta nauczycielska pasja nie pozwalała Hawlickiemu patrzeć spokojnie na ponury stan oświaty, na nędzę nauczycielstwa, na zastraszający „rozkwit" analfabetyzmu.

A przecież zdawał sobie z tego sprawę, że nie ułatwia mu to życia, że trudniej mu będzie wychować i wykształcić sześcioro dzieci, których był ojcem.

O „NADPRODUKCJI INTELIGENCJI"

Dopiero w szkole wiejskiej w Pobitnem zrozumiałem — opowiada o tym okresie prof. Hawlicki — że rzeczywiste wprowadzenie powszechności nauczania i pełny rozkwit oświaty możliwe są tylko w warunkach, kiedy władzę obejmie lud pracujący. Dziś każdemu może się to wydać „jasne jak słońce", ale wtedy nie było to takie proste. Ja sam byłem w dużym stopniu „idealistą" wierzącym w ewolucję i w dziedzinie oświaty — dopiero później zrozumiałem, że bez rewolucyjnych zmian nie może być żadnej poprawy.

Władze sanacyjne szybko wyleczyły mnie ze złudzeń. Pojąłem, że ówczesnym panom Polski bynajmniej nie zależało na rozwoju oświaty wśród mas robotniczych i chłopskich. Mój najstarszy syn — był jednym z owych licznych ofiar — rzekomej „nadprodukcji inteligencji". Chociaż był absolwentem Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Krakowie, przez dwa lata nie mógł znaleźć żadnej pracy. Wreszcie otrzymał „posadę" w jednoklasowej szkole we wsi Krzywe pow. rzeszowskiego.

Cóż z tego że istniał obowiązek nauczania, kiedy na jednego nauczyciela przypadało trzysta dzieci, kiedy olbrzymi procent tych dzieci nie mogło uczęszczać do szkół a tysiące nauczycieli nie miało pracy?

MARZENIA STAJĄ SIĘ RZECZYWISTOŚCIĄ

A jak to jest dziś? Dziś syn mój pracuje w takich warunkach, o jakich ja marzyłem przez pół wieku. Nie, nie twierdzę, że dziś jest już wszystko najlepiej. Niełatwe mają i dziś życie nauczyciele. Wiem o tym dobrze, bo pracuję nadal w ZZNP i z niejednym biurokratą się naużeram, z niejednym ciężkim kłopotem nauczycieli się spotykam. Ale dziś są to zupełnie innego rodzaju trudności...

— Ale — zapoznajcie się z moją rodziną — prof. Hawlicki zmienia nagle temat — i podaje mi duży, pięknie oprawiony album.

— Oto moja siostra Krystyna — nauczycielka, brat Aleksander — nauczyciel. Dwaj bracia stryjeczni — Leon i Józef — nauczyciele — syn Józef — nauczyciel, córka Jadwiga — nauczycielka pracująca w ZZNP no i... żona Anna oczywiście też nauczycielka.

Mam też wnuków, którymi mogę się pochwalić — jeden jest oficerem Marynarki Wojennej, wnuczka studiuje na Akademii Medycznej w Łodzi. Dwoje najmłodszych wnucząt — Tadzio i Ewunia — uczą się w szkole TPD w Rzeszowie i zbierają same „piątki".

No i nasza największa duma — najstarszy syn Józef, który jest w przeciwieństwie do mnie niezłym matematykiem — kończy prof. Hawlicki swój „przegląd rodzinny".

DUMA NIE TYLKO RODZINY

Rzeczywiście rodzina Hawlickich może być dumna ze swego Józefa nauczyciela Liceum Pedagogicznego w Przemyślu. Józef odziedziczył po ojcu ową nauczycielską pasję życia. Jest również żarliwym bojownikiem o rozwój oświaty jak jego ojciec.

Ale Józef Hawlicki nie musi już walczyć z sanacyjnym aparatem szerzenia ciemnoty. To też może całą swą olbrzymią energię i twórczą pasję skoncentrować na pracy pedagogicznej i wychowawczej.

A wychowawcą jest bardzo dobrym. Otacza młodzież serdeczną, lecz surową i wymagającą przyjaźnią. Wpaja w nią nie tylko poczucie praw, ale przede wszystkim i obowiązków. Jest zdania, że nie należy młodzieży zbyt skrzętnie usuwać wszystkich przeszkód i ułatwiać jej na każdym kroku nauki. Młodzież winna uczyć się łamać trudności, pokonywać przeszkody, podejmować się trudnych obowiązków.

Józef Hawlicki nie poprzestaje jednak tylko na pracy wychowawczej. Jako doświadczony pedagog dostrzega błędy popełniane w naszym szkolnictwie.

Rozumie, że postępujące szybko naprzód życie wymaga również od nauczycielstwa stałego rozwoju i doskonalenia metod pracy naukowej i wychowawczej. Jest autorem udoskonalonych podręczników matematyki dla klas I—IV. Sporządził modele 30 pomocy naukowych i wystąpił z wnioskiem, by pomoce te produkowane były masowo przez przemysł terenowy.

W czasie ostatniego Zjazdu Nauczycielstwa — Hawlicki wystąpił z interesującymi wnioskami w sprawie ulepszenia metod wychowawczo-pedagogicznych, szczególnie w pierwszych klasach.

Słowem Józef Hawlicki, nieodrodny syn zasłużonego działacza oświatowego, jest nauczycielem, który łączy pracę pedagogiczną z nieustanną troską o stały rozwój metod nauczania i wychowywania.

NIEŁATWA SZTUKA

Sztuka wychowywania młodzieży nie jest łatwą umiejętnością. Posiąść tajniki tej sztuki można tylko w wyniku usilnej pracy, rozległej wiedzy i znajomości psychiki młodzieży. A osiągnąć to można jedynie wtedy, kiedy dysponuje się taką żywiołową pasją nauczycielską jaką posiadają obaj Hawliccy — ludzie, którzy rozumieją jak wielką i ważną społecznie, odpowiedzialną i zaszczytną jest dziś w Polsce Ludowej praca nauczyciela-wychowawcy.

Toteż nauczycielom naszym towarzyszy serdeczna troska i sympatia całego narodu, który docenia jakże trudny i odpowiedzialny wysiłek wychowawców młodego pokolenia.

Państwo ludowe wysoko ocenia pracę zasłużonych nauczycieli.

Za ofiarną, rzetelną pracę obaj Hawliccy ojciec i syn odznaczeni zostali Orderem Sztandaru Pracy.

Dołączamy do tego zaszczytnego wyróżnienia wyrazy najserdeczniejszego uznania. Bo Maksymilian i Józef Hawliccy są również naszą dumą.

ANDRZEJ ZAGÓRSKI

Jan Grygiel

PEJZAŻ ZNAD JEZIORA

Wieś jak zgaszoną głownię pokrył szary żużel.
Noc spadła bez ostrzeżeń — przycichł tętent zórz.
Już tańczy czółno nowiu z żaglem obłoku w podróży,
tnąc bruzdą mlecznej drogi najzimniejsze z mórz.

Na wodzie się kołyszą żółte pióra księżyca
i drga stłumionym srebrem nikłe próchno gwiazd.
Wiatr miękko szumi w trzcinach jak w włosach
kobiecych.
— Rosną wciąż groźniej wzgórza — bliżej podchodzi
las.

KARKONOSZE W ZIMIE

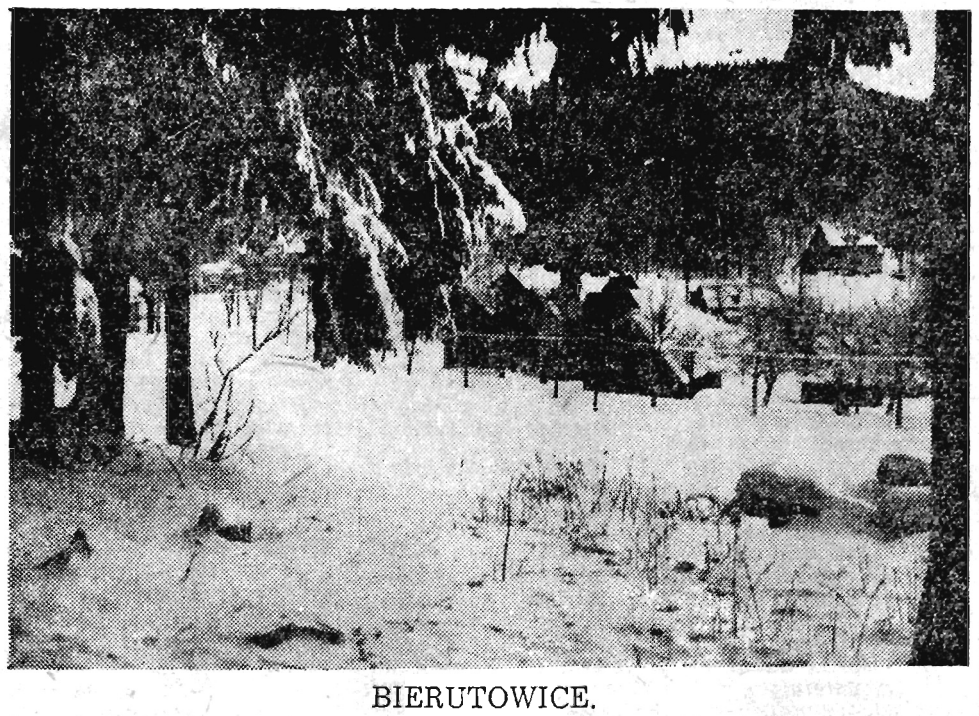

BIERUTOWICE.

Na zdjęciu: Pomnik Mickiewicza w Przemyślu

W ROCZNICĘ URODZIN POETY

Dnia 24 grudnia 1798 r. urodził się Adam Mickiewicz. Zmarł 26 listopada 1855 r.

W roku 1890 nastąpiło uroczyste sprowadzenie prochów Mickiewicza z Paryża do Krakowa i złożenie ich w Katedrze na Wawelu. W tym czasie w całym kraju zbierano wśród społeczeństwa fundusze dla uczczenia pamięci Wieszcza.

Tak też było w Rzeszowie. Z drobnych składek postawiono w Rzeszowie już w 1892 roku pomnik Mickiewicza, wykonany przez rzeźbiarza Lewandowskiego. Jak wiemy, pomnik ten okupant hitlerowski zniszczył w barbarzyński sposób.

Interesujący szkic historyczny poświęcony Mickiewiczowi napisał do zbiorowego wydawnictwa historii Rzeszowa — która jest w przygotowaniu — mgr Emil Bielecki, kustosz rzeszowskiego Muzeum.

Podobnie w tym czasie co w Rzeszowie postawiono również pomnik Mickiewicza w Przemyślu, dłuta rzeźbiarza Dykasa. Pomnik ten do dziś zdobi to miasto.

Nie doszedł natomiast do skutku nieco późniejszy zamiar postawienia pomnika Mickiewicza w Jarosławiu. Jak nas informuje dyrektor Muzeum jarosławskiego dr Gottfried, przeszkodziła temu pierwsza wojna światowa. Model tego pomnika wykonany przez rzeźbiarza Mazura znajduje się w zbiorach muzeum.

W oryginalny sposób uczcili pamięć Mickiewicza mieszkańcy Sanoka. Mianowicie w parku na wzgórzu górującym nad miastem usypano w latach 1898—1903 okazały kopiec, na którym umieszczono wielki głaz granitowy z odpowiednim napisem.

Ciekawe materiały w tej sprawie udostępnił nam w Muzeum sanockim dyrektor Stefański.

W Krośnie i w Bieczu ludność ufundowała marmurowe tablice dla utrwalenia pamięci Mickiewicza. To są informacje, które zdołaliśmy zebrać z kilku miast naszego województwa.

Ale nie tylko mieszkańcy miast czcili pamięć Mickiewicza. Należy ze szczególnym uznaniem podkreślić, że i na wsi wśród tych nielicznych wówczas chłopów, którzy nauczyli się czytać, dzieła Mickiewicza były znane.

Wyrazem czci dla poety jest kilka wierszy poświęconych pamięci Mickiewicza, które napisali znani pisarze ludowi w 1898 roku w związku z setną rocznicą urodzin Wieszcza, a mianowicie Jan Rak z Husowa i Franciszek Magryś z Handzlówki. Dzieła Mickiewicza czytali i inni pisarze ludowi z naszego terenu, jak Słomka, Kuraś, Sobek.

Tak było ongiś. A dziś?

Dziś twórczość Mickiewicza porywa i rozczula, uczy i wychowuje miliony ludzi w miastach i wsiach naszego kraju.

Można tu także wspomnieć, że w naszym województwie spośród żyjących pisarzy ludowych wielkim miłośnikiem poezji Mickiewicza jest między innymi Walenty Kunysz z Kraczkowej, który w setną rocznicę śmierci poety napisał wiersz poświęcony jego pamięci.

A hołd dla Mickiewicza ze strony całej ludności naszego województwa znajduje szczególnie dobitny wyraz w ofiarnej zbiórce funduszów na godny naszych dzisiejszych wielkich czasów pomnik, którym będzie tętniący życiem Młodzieżowy Dom Kultury im. Adama Mickiewicza w Rzeszowie.

Dr FRANCISZEK BŁOŃSKI

Rok IV Rzeszów, 24 12. 1955 r. Nr 49 (295)

Nowiny Tygodnia

Tygodniowy dodatek „Nowin Rzeszowskich"

Dziś w „NOWINACH TYGODNIA" piszą:

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ — Pożegnanie (fragment nowej powieści)
STEFAN FLUKOWSKI — Xawery Dunikowski — (w 80-lecie urodzin)
JERZY PISKOR — Rozmowa o rzeszowskim teatrze
LUBOMIR RADŁOWSKI — Listy z Batumi
JULIAN WOŹNIAK — Jedź bracie do Padwi...

ROZMOWA O RZESZOWSKIM TEATRZE

Ażeby przeprowadzić wywiad z dyrektorem Państwowego Teatru Ziemi Rzeszowskiej — Hugonem Morycińskim i kierownikiem literackim — Jerzym Pleśniarowiczem, wystarczy umówić się telefonicznie, powiedzmy na godzinę siedemnastą, opowiedzieć się portierowi, a potem po stromych schodach (zupełnie jak na wieżę mariacką w Krakowie) brnąć do celu spotkania (gabinetu).

Na wstępie — tzn. przed rozpoczęciem właściwej rozmowy — kilka być może chaotycznych uwag z cyklu „wczoraj, dziś i jutro". Był czas, kiedy w Rzeszowie zadomowiły się sztuki — przypadkowe. Wymienię tutaj chociażby „Kwadraturę koła" — Katajewa czy „Jeannę Ligęzę" — Wojdana.

Sztuki te dalekie od doskonałości przygotowywano z pewnymi skrótami artystycznymi, gdyż „w linii teatru" dominowało wykonanie — za wszelką cenę — planu finansowego. Epilog takiego postępowania jest wszystkim dobrze znany. Ludzie po prostu przestali odwiedzać swój teatr.

Na usprawiedliwienie ówczesnego kierownictwa teatru można dodać, że w czasie gdy jeździło się ze sztuką po tzw. terenie nie było możności przeprowadzania prób. Również nie obsadzone etaty aktorskie powodowały w czasie ewentualnej choroby aktora teatralną „awarię".

Z tych powodów powstały trudności w nawiązaniu ścisłego kontaktu z widzem i w konsekwencji rozłam, któremu teatr niestety nie był w stanie zaradzić.

Po tym krótkim „zagajeniu" przystępuję do zapowiedzianej na początku artykułu rozmowy z dyrektorem Hugonem Morycińskim, który w październiku przybył z Wybrzeża do Rzeszowa.

Stałych bywalców Państwowego Teatru Ziemi Rzeszowskiej interesują cele jakie zakłada sobie wasza scena w sezonie 1955/56.

— Przede wszystkim chcemy przywrócić zaufanie widza do teatru. Dlatego został dobrany odpowiedni repertuar, który umożliwi związanie się z widownią poprzez organizację dyskusji i spotkań z przedstawicielami różnych środowisk.

— Czy Przemyśl może liczyć w przyszłości na posiadanie państwowego teatru?

— Naszym celem jest nawiązanie najbliższego kontaktu z „Fredreum". Chętnie wypożyczymy tej zasłużonej placówce kulturalnej reżyserów a nawet aktorów i sądzę, że w przyszłości teatr ten stanie się sceną państwową.

— A teraz sprawa najważniejsza — repertuar?

— Zanim przedstawię poszczególne pozycje repertuarowe spróbujemy (wspólnie z kierownikiem literackim — przyp. mój) określić kryteria towarzyszące wyborowi sztuk. Otóż biorąc pod uwagę potrzeby terenu staraliśmy się umieścić w naszym repertuarze sztuki jednoznaczne to znaczy takie sztuki, które nie ograniczają się jedynie do wysuwania pewnych problemów, ale problemy te interpretują i rozwiązują.

Innym ważnym momentem obowiązującym nas przy doborze repertuaru jest wprowadzenie szerokiego wachlarza sztuk i repertuaru o takiej skali, który w teatrze terenowym przeznaczonym dla masowego odbiorcy, mógłby spełnić jednocześnie rolę kilku teatrów w jednym środowisku.

I wreszcie to co najważniejsze — repertuar naszego teatru musi odznaczać się zdecydowanym wyrazem artystycznym, musi oddziaływać na widza intelektualnie i emocjonalnie.

— Dobrze, ale to są wszystko teoretyczne dociekania. Nas interesują najbardziej tytuły sztuk, które w bieżącym sezonie teatr bierze na warsztat.

— W tej sprawie wypowie się najlepiej kolega Pleśniarowicz — kierownik literacki naszego teatru, z którym wspólnie przemyśleliśmy cały repertuar.

— A więc słuchamy.

— W sezonie 1955/56 planujemy po „Maturzystach" i „Intrydze" jeszcze siedem premier. Zgodnie z naszymi założeniami chcemy obok wartościowych pozycji klasyki polskiej i obcej — na które czeka młodzież — wprowadzić nowe pozycje repertuaru współczesnego. Kluczowymi pozycjami, które nadają charakter naszemu repertuarowi w bieżącym sezonie są: „Pociąg pancerny" — Wsiewołoda Iwanowa (heroiczny epos z okresu Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej) oraz „Sen nocy letniej" — Szekspira w nowym tłumaczeniu Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego.

— No dobrze, a poza tymi kluczowymi pozycjami?

— Wyliczam nie w kolejności wystawiania premier; „Zemsta" — Fredry, „Hiszpanie w Danii" — Merimee (będzie to prapremiera polska ciekawej sztuki z czasów napoleońskich), nowa sztuka Warmińskiego pod nieustalonym jeszcze tytułem (konflikty rodzinne), a na stulecie urodzin Bernarda Shawa „Kandyda" i wreszcie „Klątwa" — Wyspiańskiego.

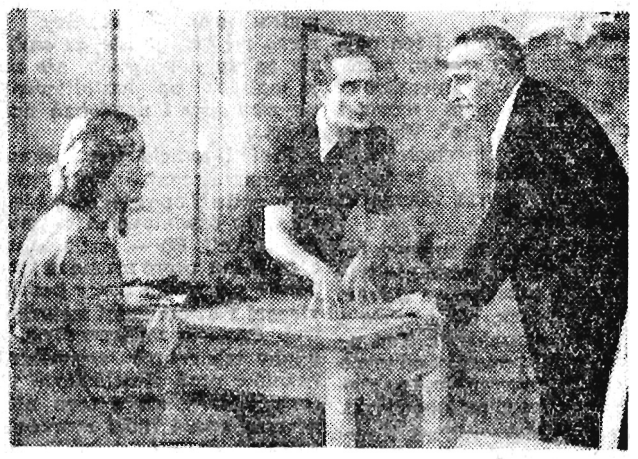

Państwowy Teatr Ziemi Rzeszowskiej — „Maturzyści" Zdzisława Skowrońskiego, reżyseria: Bronisław Kassowski, scenografia: Irena Perkowska

Akt I — od lewej: Zofia Gorczyńska (prof. Domańska), Józef Jachowicz (Leszek Biernacki), Stefan Michułowicz (prof. Orliński)

— Realizacja tego programu wymaga poważnego wkładu twórczego całego zespołu? — (pytanie to adresuję do dyrektora).

— W bieżącym sezonie zespół artystyczny naszego teatru, po raz pierwszy od dłuższego czasu posiada pełny skład to znaczy 43 osoby. Przybyli do nas nowi aktorzy: Maria i Bronisław Kassowscy, Aleksandra Stróżyńska i Bogdan Marszałek ze Szczecina, Danuta Urbanowicz z Warszawy, Magdalena Nowakowska z Wrocławia, Jan Barski z Łodzi, Stefania Żubrówna z Krakowa, Julian Krzywka z Kielc oraz do pomocniczego zespołu aktorskiego: Ryszard Major z teatru „Nurt" w Nowej Hucie i Włodzimierz Figura z ruchu świetlicowego.

Reżyserować będą: Erwan, Kassowski i Moryciński a oprawa scenograficzna spoczywa w rękach Salomei Gawrońskiej i Ireny Perkowskiej.

— Czy przewiduje się jakieś gościnne występy?

— Owszem. Do współpracy reżyserskiej i scenograficznej zaprosiliśmy Wilama Horzycę i Józefa Karbowskiego z Krakowa oraz Jana Kosińskiego z Warszawy. Skład naszego zespołu daje nam gwarancję, że przy realizacji zamierzonego repertuaru nie powinniśmy napotkać na trudności obsadowe (orientacyjna obsada wszystkich sztuk do końca sezonu została już dokonana).

Nie są także wykluczone gościnne występy wybitnych artystów polskich.

— Tym poważnym zamierzeniom repertuarowym powinno towarzyszyć usprawnianie organizacji pracy artystycznej oraz zwiększenie ilości prób nad każdą sztuką.

— Naturalnie! Dlatego, ażeby zaspokoić w pełni głód teatru w mniejszych ośrodkach naszego województwa, będziemy się starali zwiększyć frekwencję na naszych spektaklach przy ograniczeniu ilości wyjazdów. W tym celu planujemy zorganizowanie masowych przedstawień „Snu nocy letniej" na wolnym powietrzu.

— Jak rozwiążecie współpracę z zespołami świetlicowymi?

— Dotychczas nasze kontakty z zespołami świetlicowymi ograniczały się do więzi perukarsko-kostiumologicznej. Gdy teraz wpada do nas przedstawiciel jakiegoś zespołu świetlicowego musi spotkać się z kierownikiem literackim i scenografem.

* * *

Dochodzi godzina dziewiętnasta. Dyrektora Morycińskiego proszą na próbę „Intrygi", a ja życzę na pożegnanie zespołowi rzeszowskiego teatru pełnych kompletów na każdym przedstawieniu.

Rozmawiał:
JERZY PISKOR

XAWERY DUNIKOWSKI

(w 80-lecie urodzin)

Xawery Dunikowski zawsze powtarza, iż rzeźbić można się nauczyć w rok, a nawet w niecały rok, że o rzeźbie można wszystko powiedzieć w kilka minut, że cała tajemnica tej sztuki polega na niewielu prostych zasadach, tak prostych, że doprawdy wstyd je powtarzać. Kiedy się słucha tych opinii raz jeden i drugi, wydaje się, że to żarty, rzecz niemożliwa. Ale po paru latach, przysłuchując się uważnie tego rodzaju sądom profesora i obserwując jego pracę pedagogiczną czy artystyczną, zaczynamy uzupełniać sobie argumenty rzeczowymi danymi. Bogate doświadczenia potwierdzają te strzępy rzucanych wypowiedzi. Wszystko staje się jasne i proste. Tak, oczywiście, rzeźba to prosta rzecz i możemy się jej nauczyć w stosunkowo krótkim czasie. I mówić o niej za dużo nie można. A pisać jeszcze niebezpieczniej!

Maria Skłodowska-Curie. Z nowej serii „Głów Wawelskich" (1951 r.)

Rzeźba — to bryła ograniczona płaszczyznami, rzecz trójwymiarowa, określona ze wszystkich stron. Musi mieć swój poziom i pion, ściśle wyważone proporcje i ciężary brył. Musi być opracowana z myślą o materiale, z myślą czy będzie wykuta w drzewie, odlana w brązie, wycisana w kamieniu. Materiał bowiem przesądza o bryle rzeźbiarskiej, określa jej charakter. Już lepiąc pierwsze szkice w glinie, artysta-rzeźbiarz zakłada, z jakiego materiału chce stworzyć swoje dzieło. Oczywiście, do tych nielicznych podstawowych prawd należy jeszcze zaliczyć biegłość rąk, samo rzemiosło, nad czym szczegółowiej tu się zatrzymywać nie będziemy.

„Tak — mówi mistrz Dunikowski — rzeźby mogę nauczyć w ciągu krótkiego czasu — wszystkiego tego, co ludzkość w tej dziedzinie wymyśliła, zresztą już tysiące lat temu. Ale czy tak wyuczony człowiek będzie rzeźbiarzem? Oczywiście, będą to bryły ograniczone płaszczyznami, przedmioty trójwymiarowe, ale bryła jest melon, kupa ziemniaków na polu i głowa ludzka. Aby bryła stworzona przez człowieka, przedstawiająca przy jej pomocy jakiś przedmiot, była dziełem sztuki, musi być wyrazem takiego przeżycia, które znalazło dla siebie formę rzeźbiarską. Żadne przeżycie ludzkie nie jest bowiem dziełem sztuki, póki nie okrzepnie w formie wyróżniającej ją spośród innych podobnych form. Toteż w moich uczniach starałem się przede wszystkim rozbudzać wrażliwość i pogłębiać świadomość, ośmielać do rzeczy wielkich i nowych".

Widocznie ta metoda dawała doskonałe wyniki, gdyż w minionym dziesięcioleciu uczniowie profesora Dunikowskiego mieli bardzo udane wystawy.

Ale istnieje jeszcze jeden powód, dla którego tezy Xawerego Dunikowskiego musimy uznać za nie ulegające wątpliwości. To jego własna twórczość rozciągająca się na długi, sześćdziesięcioletni okres, twórczość bogata, różnorodna i głęboka. Wystarczy pójść na wystawę do warszawskiej „Zachęty" i spojrzeć na ostatnie dziesięć lat pracy mistrza i jego uczniów. Około stu dwudziestu nowych prac Dunikowskiego — to ogrom życia zaklętego w kamień i płótno, potężne wizje ożywione nowatorskimi koncepcjami, szmat naszego bytu w nowych granicach i w nowym ustroju — w Polsce Ludowej.

Twórczość tego okresu cechuje projektowanie wielkich monumentalnych pomników. Są to realizacje pomysłów architektonicznych, gdzie rzeźba czy płaskorzeźba służy jedynie tej ogólnej koncepcji. Tego Dunikowski przed wojną niemal nie tworzył. Teraz nawet postacie ludzkie — jeśli pomnik jest zbudowany z postaci ludzkiej

„Górnik" Kariatyda z pomnika Czynu Powstańczego na Górze św. Anny (1947 r.)

— są rozwiązywane nie jako rzeźby, ale jako budowle wzniesione z brył architektonicznych. Pomniki te zresztą, ile ich było po wojnie zaprojektowanych, wyrażają nie obraz danej osoby, ale syntezę twórczą o twórczym czynie albo wielkich postaci historycznych, albo całych mas ludzkich. Taki jest pomnik Czynu Powstańczego na Górze św. Anny, potężne mauzoleum ku czci ludu śląskiego czy pomnik Wyzwolenia w Olsztynie. Łuk Triumfalny, którym na ziemie Mazur i Warmii wkroczyła po wiekach wolność.

Na wystawie można obejrzeć i inne jeszcze pomniki, można też oglądać nową serię Głów Wawelskich, liczne studia portretowe i portrety, w których Dunikowski był zawsze takim arcymistrzem głębi psychologicznej, określonej monumentalną formą.

Xawery Dunikowski zawsze budził zaciekawienie współczesnych, budził oburzenie kołtunerii. Nigdy bardziej niż dziś nie stało się jasne, że ta długo

Mikołaj Rej. Z nowej serii „Głów Wawelskich" (1955 r.)

letnia twórczość Dunikowskiego — Budowniczego Polski Ludowej — namiętna i zuchwała, jest w dziejach naszej sztuki wciąż jeszcze nieogarnięta. Może dlatego, że ciągle się na nowo zaczyna, rodzi i rozwija, nawet jeszcze dziś, kiedy artysta przekroczył już osiemdziesiąty rok życia.

STEFAN FLUKOWSKI

Jarosław Iwaszkiewicz

POŻEGNANIE *)

Tego dnia pomimo gorąca Elżunia cały ranek śpiewała z Olą. Głos Oli miał przyjemne, pełne słodyczy brzmienie, z natury dobrze postawiony; z muzykalnością jej nie było kłopotu. Toteż Elżunia po kilku lekcjach postanowiła nauczyć ją trudniejszych piosenek — nawet „Verborgenheit". I tutaj dopiero natrafiła na specjalne trudności. Śpiew Oli brzmiał sucho, drewniano i nie miał żadnego wyrazu. Na próżno Elżunia poddawała akcenty, pokazywała portamento: nawet pierwsza fraza, dość łatwa, nie udawała się Oli. Wyrazy wychodziły niby wypchane ptaki, upadały zaraz bez życia.

„Lass o Welt, o lass mich sein!".

Zwłaszcza owo „o lass" — skok o kwartę tak wyrazisty, brzmiało w ustach Oli czysto jak klinga, a jednocześnie bezbarwnie. Na darmo Elżunia brała ową kwartę, cudnie, aksamitnie, wyraziście. Wszystko, co po niej śpiewała Ola, gubiło się.

Upalne więc przedpołudnie było wypełnione owymi kwartami jak gruchaniem gołębi. Rozlegały się one po całym domu — „o lass, o lass mich sein" — wołała Elżunia, „O lass mich sein!" powtarzała za nią Ola.

Spychała chodził po pokoju niepewny, pełny wątpliwości. „O lass mich sein!" brzmiało dla niego jak wołanie o byt, o istnieniu jakiejś niedorosłej istoty. Chciał, aby coś się zrodziło z niego i poprzez niego, a jednocześnie ogarniała go nieposkromiona nuda codziennych zdarzeń.

Z przyjazdem Oli do Odessy zmieniło się wszystko; nie miał czasu na obawy co do Józia i przestał kontrolować jego wizyty u Wołodii i rozmowy z Edgarem. Zresztą i Józio nie miał teraz żadnych tendencji do uciekania z domu. Godzinami siedział w salonie lub w przyległym pokoju dłubiąc palcami w szydełkowych serwetkach lub przerzucając karty detektywistycznych książek. Nawet na plażę trudno go było wyciągnąć zwłaszcza w te dni, kiedy Elżunia „pracowała". Ćwiczenia Elżuni nie zawsze były interesujące, chociaż czasami zarzucała ona swoje uczone wokalizy i cały ranek zanurzona w nutach, przetrzymywała Edgara, który jej akompaniował i śpiewała pieśni Schumanna, Schuberta czy Brahmsa. Spychała widywał Józia także w kącie ogrodu pod płotem, za dwoma zakurzonymi krzakami żółtych akacji. Nie było to piękne miejsce ale za to zasłonięte ze wszystkich stron nadzwyczajnie. Wystarczyło aby Elżunia wzięła jeden ton, a już Józio porzucał swoje ukrycie i szedł powoli w stronę willi. Na jego nierównej twarzy malowała się zaciętość i niepokój w oczach.

Tym razem Józio dla słuchania głosu Elżuni wybrał właśnie wspólny z Kazimierzem pokój; wszedł, i usiadł na słomianym krześle, na progu balkonu, nachylony i równie niecierpliwy jak Spychała.

I kiedy na dole gruchały gołębie kwart — „o lass!" — „o lass". — Spychała uprzytomnił sobie, że zaniedbał zupełnie w ostatnich czasach swojego ucznia. Ich lekcje ograniczały się do wspólnego czytania wybitniejszych dzieł literatury polskiej i do wypracowań, od których Józio wykręcał się jak mógł. Teraz chodząc po pokoju rozumiał, iż z nimi obu działy się dziwne rzeczy, na tej odeskiej plaży.

— Napisałeś wypracowanie? — rzucił niechetnie.

— Nie — obojętnie odpowiedział Józio, wsłuchany w głos Elżuni, która pokazywała teraz Oli jakiś parotaktowy frazes.

— Dlaczego? — spytał jeszcze Spychała.

— Nie miałem czasu.

— Cóż robisz po całych dniach?

Józio spojrzał nieśmiało na korepetytora i uśmiechnął się bezradnie!

— Słucham lekcji śpiewu. A ty?

Kazimierz z początku nachmurzył się i w dalszym ciągu chodził po pokoju, nawet przyspieszył kroku, ale potem dał za wygraną. Stanął nad Józiem i patrząc poprzez balkon na morze blade i niebieskie rozjaśnił swą chudą twarz w uśmiechu.

— Cóż z tego będzie? Zastanów się, Józiu! — powiedział.

Józio pochylił głowę i poczerwieniał.

— Mam wrażenie, że w takich razach nikt się nie zastanawia, co z tego będzie. Nic nie może być, ja to wiem — dodał z westchnieniem.

— Właśnie — uśmiechnął się Spychała i odszedł.

— W cudzy ból zęba nie wierzy nawet ten, którego własny ząb boli.

„Lass o Welt, o lass mich sein!..." — powtórzył Józio wierszyk, który brzmiał na

*) Rozdział z I tomu nowej powieści „Sława i chwała", która ukaże się wkrótce nakładem PIW. Rzecz dzieje się w Rosji carskiej.

Notatnik kulturalny

W WARSZAWIE odbyła się czterodniowa sesja naukowa historyków literatury i języka, zorganizowana przez Polską Akademię Nauk. Sesja była podsumowaniem pracy dokonanej w Roku Mickiewiczowskim dla uczczenia naszego wielkiego Poety, któremu hołd złożył cały świat. Uczestnicy sesji mieli sposobność usłyszenia odczytów, wygłoszonych przez wybitnych mickiewiczologów omawiających znaczenie twórczości Mickiewicza w literaturze, historii i językoznawstwie.

* * *

UCZONY POLSKI Leopold Infeld jest nie tylko znakomitym fizykiem, lecz odznacza się także talentem pisarskim, o czym świadczy jego książka „Wybrańcy bogów". Ostatnio przetłumaczył ją na język węgierski R. Tarjan.

* * *

W TEATRACH NRD cieszy się największą popularnością wśród polskich komediopisarzy, Aleksander Fredro, nazywany przez Niemców „polskim Molierem". Komedie Fredry „Zemsta" i „Mąż i żona" grane są na scenach teatrów w różnych miastach z niesłabnącym powodzeniem.

* * *

W NOWYM przekładzie (najlepszym z dotychczasowych) Waltera Pannitza ukazał się po niemiecku „Pan Tadeusz", wydany w NRD z okazji Roku Mickiewiczowskiego. Książka jest wydana bardzo ładnie i ozdobiona ilustracjami.

* * *

W ZWIĄZKU z przygotowaniami do obchodów 75-lecia zgonu Dostojewskiego, odbyła się w Instytucie Światowej Literatury im. Gorkiego w Moskwie sesja poświęcona twórczości tego pisarza. Domy kultury i świetlice w wielu miastach Związku Radzieckiego urządzą wieczorki i akademie ku czci Dostojewskiego, a filmowcy nakręcą montaże biograficzne oraz film osnuty na tle powieści „Idiota".

* * *

TRÓJWYMIAROWE filmy cieszą się ogromnym powodzeniem w Moskwie, Kijowie i Astrachaniu. Kino w Astrachaniu posiada aparaturę produkcji radzieckiej, a ekran jego jest dwukrotnie większy niż trójwymiarowego kina w Moskwie.

* * *

POSTĘPOWY pisarz islandzki H. K. Laxness otrzymał nagrodę Nobla. W swym dorobku twórczym ma on wiele znakomitych powieści. Najcenniejsze z nich to historyczna trylogia: „Dzwon islandzki", „Jasnowłosa dziewczyna" i „Pożar w Kopenhadze". Ostatnią powieścią Laxnessa jest „Stacja atomowa". Polskie wydawnictwa mają wydać niektóre jego dzieła, jak np. „Sprzedana wyspa" i „Niezależni".

(mw)

Z wizytą w czterech republikach Związku Radzieckiego

LISTY Z BATUMI

Nie znam pochodzenia przysłowia: „Góra z górą się nie zejdzie, ale człowiek z człowiekiem...".

Jakie było moje zdziwienie kiedy w lokalu hotelu „Inturist" w czasie dancingu spotkałem znajomego. Znałem go z lat szkolnych i spotkaliśmy się po 16 latach. Przed 16 laty Szymkiewicz był 17-letnim chłopcem, który w obawie przed hitlerowcami uciekł z Kalisza na teren Zachodniej Ukrainy. Podobnie jak inni w latach Wielkiej Wojny Narodowej pracował w kołchozie, służył w Armii Radzieckiej i wreszcie ranny leczył się przez kilka lat w szpitalach. Po zakończeniu wojny ożenił się z pielęgniarką, która opiekowała się nim w czasie choroby (tak jak w powieści lub w filmie). Dziś jest szczęśliwym ojcem dwojga dzieci, i pracuje w artelu krawieckim, żona natomiast kończy Akademię Medyczną.

Drugi obrazek. W roku 1954 w Miesiącu Pogłębienia Przyjaźni Polsko-Radzieckiej bawiła w województwie rzeszowskim delegacja Związku Radzieckiego. M. in. gościem naszym była tow. Jewdokija Kiriczenko.

Jestem w Moskwie. Odwiedzam Wszechzwiązkową Wystawę Rolniczą, pawilon Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. Na czołowych miejscach portrety naszego drogiego gościa Jewdokii Kiriczenko. Dojarka. Dzięki wytrwałej pracy, dzięki zrozumieniu swojej roli w społeczeństwie socjalistycznym jest dziś znaną w całym Kraju Rad. Odznaczona Orderem Lenina, bohater pracy socjalistycznej. Wreszcie spostrzegam ją wśród wycieczkowiczów, którzy przyjechali do Moskwy. Rozmawiamy.

Pobyt na ziemi rzeszowskiej wspomina ona bardzo mile. I kto by się spodziewał, że w niespełna roku spotkamy się tu w Moskwie — mówi Kiriczenko. — Wy z Rzeszowa, a ja z Ukrainy.

Tak jest, góra z górą się nie zejdzie, a człowiek...

* * *

Otrzymałem ostatnio sporo listów. Listów od znajomych. Piszą kołchoźnicy z Achełszyny, pionierzy z Arteku, dziennikarze z Jałty i Suchumi, piszą gorące, serdeczne listy dzieci z Batumi, przyjaciele, z którymi poznałem się w czasie pobytu w Związku Radzieckim. Otrzymuję listy nie tylko ja. Otrzymuje je moja córka Ala i syn Zbigniew. Cała rodzina pochłonięta przyjaźnią. Przyjaźnią, która płynie z głębi serc.

Ostatnio gościł w Związku Radzieckim Państwowy Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk"

Najwięcej listów otrzymuję z Batumi. Najbardziej wysunięte na południe nad wybrzeżem Morza Czarnego miasto Batumi, stolica radzieckiej Adżarii, zgotowała naszej wycieczce tak gorące powitanie i pożegnanie, że niesposób je opisać.

I dlatego listy z Batumii tak jak jego klimat, jak jego mieszkańcy są pełne serdeczności, gorąca i tkliwego uczucia.

* * *

Z uwagi na to, że kończę swój cykl reportaży pragnę sformułować kilka uwag, które mogłyby być wzięte pod rozwagę przez właściwe czynniki w naszym mieście. Jestem pewny, że mieszkańcy Rzeszowa na pewno je zaaprobują. Telefony. Na każdym rogu ulicy, na placach automaty, z których za jedne 15 kopiejek można połączyć się z dowolnym numerem. Znam miasto w Związku Radzieckim, gdzie mimo mniejszej ilości mieszkańców niż w Rzeszowie automaty uliczne są normalnym zjawiskiem.

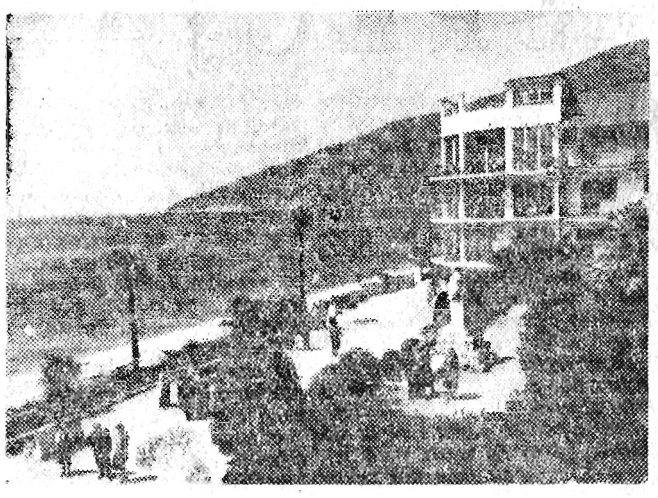

Uzdrowisko Gagra — sanatorium „Czeluskincew"

Mamy teraz zimę. Ale nie szkodzi. Możemy się przygotować. Bo tam w każdym miasteczku co kilka kroków mamy wózki z saturatorami i za 4 kopiejki otrzymujemy szklankę dobrej wody sodowej.

Bilet do teatru, to żaden problem. W mieście liczącym 50 tysięcy, w którym jest jeden teatr jest co najmniej 5 kas ulicznych, w których możemy nabyć bilety do teatru. Parki. Tam park to faktycznie miejsce kultury i wypoczynku. Orkiestra, biblioteka, bufety, tańce, czytelnie, ogródki dziecięce itp. Wszystko to pod kierownictwem Wydziału Kultury Rady Narodowej (Gorsowieta).

Miałbym jeszcze wiele propozycji, lecz nie chcę budować zamków na lodzie. Podane przeze mnie wnioski są możliwe do zrealizowania. Kto może to zrobić? My wszyscy, przy pomocy rad narodowych i związków zawodowych.

LUBOMIR RADŁOWSKI

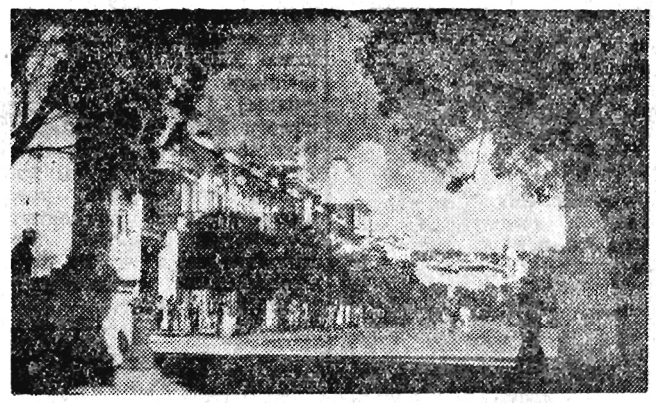

Suchumi — ul. Lenina

Zdjęcia w dzisiejszym numerze wykonali: Stanisław Kołowca, inż. arch. A. Funktewicz, W. Wolny, K. Lisowska, CORIA, CAF.

JEDŹ BRACIE DO PADWI...

Przy głównym trakcie z Dębicy do Sandomierza, mniej więcej w połowie drogi z Mielca do Tarnobrzega, znajduje się duża wieś — Padew. W środku wsi, w piętrowym budynku, jedną z sal zajmuje świetlica gromadzka. Świetlicę tę określa się mianem „wzorcowej", a dla kierownika Wydziału Kultury Prezydium WRN, Mieczysława Syty, jest ona, jak to się mówi „oczkiem w głowie". Gdy poprosiłem go o wskazanie dobrze pracującej świetlicy wiejskiej — powiedział:

— Jedź, bracie, do Padwi. Zwróć uwagę na kierowniczkę tamtejszej świetlicy.

Pojechałem (nawet dwa razy zajeżdżałem do Padwi) i teraz mogę czytelnikom naszej gazety przekazać kilka interesujących szczegółów o pracy tej świetlicy, o jej bywalcach i kierowniczce.

Przed dwoma laty świetlica ta była podobna do wielu opuszczonych, zaniedbanych — słowem „martwych" świetlic, na jakie często jeszcze dzisiaj można w naszym województwie natrafić. Pierwszym powodem zła było nieodpowiednie kierownictwo. Kierownicy często się zmieniali — jedni odchodzili, drudzy przychodzili — lecz żaden nie nadawał się na to stanowisko. Żaden nie potrafił zorganizować pracy świetlicowej, przyciągnąć do świetlicy ludzi, zainteresować młodzież wiejską rozrywkami świetlicowymi.

Ich funkcja sprowadzała się raczej do otwierania i zamykania pustego pokoju — gorzej: do nieregularnego otwierania świetlicy w porze, jaka odpowiadała kierownikowi. Efektem tej „organizacji pracy" było zamykanie lokalu świetlicy w porze wieczorowej, to znaczy w porze, kiedy młodzież do świetlicy przychodzi najchętniej.

* * *

Helena Miga jest młodą dziewczyną. Już od dziecka interesowała się teatrem, marzyła o tym, żeby kiedyś występować na scenie. Zainteresowania pracą kulturalną zwróciły jej uwagę na kurs dla kierowników świetlic wiejskich. Zapisała się... Nauka szła jej dobrze i po złożeniu egzaminu końcowego Helena Miga skierowana została do pracy w świetlicy w Padwi.

Nie znała tutaj nikogo. Jej praca rozpoczęła się od regularnego (tak, tak!) otwierania i zamykania świetlicy, od rozmów, zawierania znajomości. Miły, szczery uśmiech z czasem zjednywał jej coraz więcej koleżanek i kolegów. Zapraszała i całe to towarzystwo do świetlicy — a raczej do siebie. Przychodzili coraz częściej. Niektóre matki mówiły córkom: „nie chodźcie do tej świetlicy, bo to tylko propaganda, do spółdzielni będą was namawiać..." Ale dziewczęta przychodziły — do Helki, bo przecież wcale ich do spółdzielni nie namawiała. A chociażby to i co z tego? Przecież w Padwi jest już spółdzielnia produkcyjna i spółdzielcy to tacy sami ludzie jak wszyscy... różniący się chyba tym, że nie chcą pracować w pojedynkę.

Tymczasem, nie wiadomo nawet jak i kiedy, te prywatne odwiedziny u Heli przerodziły się w społeczną potrzebę młodzieży Padwi, która nie tylko zrozumiała znaczenie istnienia własnej świetlicy, ale poczuła jej konieczność — przyzwyczaiła się do świetlicy jak inni przyzwyczajają się do kina, teatru, kawiarni.

I niechby teraz w ustalonych godzinach świetlica była zamknięta, no! — Już raz zresztą na zebraniu zetempowskim „postawiono tę sprawę" gdy Helena Miga po powrocie z innej wsi przyszła do świetlicy godzinę później niż zwykle.

— Jakże to tak — mówiono — każda chwila jest droga! Przeprowadzamy przecież turniej szachowy, ping-pongowy!

Ale nie tylko szachy, warcaby i ping-pong wzbudzają zainteresowanie bywalców świetlicy w Padwi.

Grupa sympatyków teatru przygotowała sztukę Lutowskiego „Sprawa rodzinna" — wystawiając ją w Padwi i okolicznych wioskach, a obecnie przystępuje do opracowania sztuki Bałtuzisa „Pieją koguty". Przy świetlicy i bibliotece gromadzkiej utworzono też kółko czytelnicze. Co niedzielę kółko to będzie się zbierało aby omówić przeczytane książki i podyskutować o nich. Helena Miga przygotowuje nawet krótkie odczyty na tematy ściśle fachowe jak: „hodowla świń i drobiu", „czystość w gospodarstwie" i in., na podstawie broszur znajdujących się w bibliotece, aby tym sposobem zwrócić na te broszury uwagę i zainteresować nimi czytelników.

Jednak te wszystkie osiągnięcia nie są li-tylko wyłączną zasługą kierowniczki. Miano świetlicy „wzorcowej" wypracowali stali bywalcy tej świetlicy i ludzie, którzy kierowniczce pomagają. Najlepszym przykładem niech tutaj będzie rolnik Maciej Konieczny — najaktywniejszy członek zarządu świetlicy, który jest kierownikiem i reżyserem zespołu teatralnego oraz Marian Czyż i Władek Boryński, którzy są organizatorami wszelkich turniejów sportowych. To przecież oni tak zwanym „własnym przemysłem" zmajstrowali stół ping-pongowy...

Marianowi Czyżowi zadałem pytanie:

— Czy świetlica w Padwi jest potrzebna?

— To nie podlega dyskusji — odpowiedział. — Gdyby nie było świetlicy musielibyśmy, tak jak dawniej, chodzić do gospody i „tankować" — a teraz, proszę spojrzeć, ile tutaj jest młodzieży... i tak codziennie.

— A kierowniczka świetlicy? — zagadnąłem jeszcze.

— Potrafi z ludźmi rozmawiać — stwierdził. — Są różne ludzkie charaktery i dlatego trzeba umieć do każdego inaczej podejść. Helka to potrafi.

A po pewnej chwili z uśmiechem dodał:

— Czasem człowiek zachowa się niewłaściwie. Ja też początkowo „chuliganiłem" trochę, ale Helka zwróciła mi uwagę raz i drugi, no i... niechby teraz chciał kto tutaj „szurać"!?

Helena Miga dobrze zorganizowała swoją pracę. Świetlicą zainteresowała Prezydium GRN, a sekretarz podstawowej organizacji partyjnej w Padwi tow. Tomasz Łącz jest tutaj stałym gościem... o, nawet teraz stoi przy stole ping-pongowym z paletką w ręce.

Helena Miga nie jest w swej pracy osamotniona, a chociaż pochodzi „nie z tych stron" ma już w Padwi dużo przyjaciół. Przed miesiącem została kandydatem partii.

A jej życie prywatne? Cóż? — mieszka dość daleko od świetlicy i gdy wieczorem wraca do domu codziennie odprowadza ją jej... Jasio. Ale, — tsssst... nie zdradzajmy tajemnicy jej serduszka. W wolnych chwilach po pracy Hela pisze wiersze o świetlicy, swej pracy i o nim.

JULIAN WOŹNIAK

---

dole — „lass dies Herz alleine haben...".

— Zawsze samotnie — westchnął nagle Spychała i usiadł jak bez sił na łóżku.

Józio zaśmiał się gorzko „jak młody demon" modnym śmiechem:

— A ty co sobie wyobrażałeś? Że możesz cokolwiek podzielić na tym świecie z kimkolwiek? Każdy ma swój los jedynie dla siebie.

Spychała ze zdziwieniem popatrzył na ucznia.

— Skąd ty to wiesz? — zapytał.

— Z powietrza — warknął Józio.

Miał zamiar jeszcze coś powiedzieć, ale zdanie pół zaczęte przerwało mu gwałtowne wejście Wołodii. Miał minę skupioną i poważną.

— Musi pan zaraz wyjeżdżać — powiedział do Spychały — jutro będzie ogłoszona mobilizacja i wszystkie pociągi wstrzymane.

Spychała nie rozumiał.

Józio także podskoczył:

— To i my musimy wyjechać.

— Przez Wołoczyska pan nie zdąży, musi pan jechać do Rumunii — powiedział Wołodia do Spychały.

Kazimierz słuchał na łóżku bez słowa i blady. Nic nie rozumiał tylko czuł wielki szum w uszach. Oto nadchodzą zdarzenia.

Na dole gruchania dwóch kobiet nie ustały i wobec wiadomości przyniesionej przez Wołodie — ich skoczne kwarty w górę wyglądały na drwiny. Spychała wstał z łóżka, bardzo zdecydowany, obciągnął na sobie prostacką marynarkę i spytał Wołodii:

— Kiedy odchodzi pociąg?

— Pociąg na Reni *) koło 10-tej.

— O! To jeszcze mnóstwo czasu.

Zeszedł na dół i zapukał do salonu. Obie panie spojrzały na niego zdziwione.

— Przepraszam bardzo. Mam bardzo ważne sprawy do załatwienia.

Panno Olu, czy nie mógłbym panią prosić o zamienienie ze mną dwóch słów?

Ola rzuciła niepewne spojrzenie na Elżunię.

— Idź, moje dziecko — powiedziała śpiewaczka — na dziś będzie dosyć.

Spychała wybrał na rozmowę z Olą ową ukrytą za krzakami akacji ławeczkę, na której siadywał na czatach Józio Royski. Było bardzo gorąco i Spychała pocił się ze wzruszenia i serce mu się ściskało. Szum wielkich zdarzeń porywał go. Mknął z prądem. Ola, spokojna, smukła, niebieskooka, siadła na ławce i uprzejmie powstrzymywała wyraz zdziwienia, jaki przedostawał się na jej rysy.

Spychała siedział przez chwilę wyłamując palce, aż trzeszczały, i nie patrząc na towarzyszkę po długiej chwili powiedział:

— Panno Olu, jutro mobilizacja. Ja, jako poddany austriacki, muszę zaraz wyjeżdżać, chciałem się z panią pożegnać.

Ola wciągnęła mocno powietrze nozdrzami. W tym krótkim oddechu wyrażało się jej zdziwienie, uczucie oszołomienia. Patrzała bez przerwy na Kazimierza, który pochylony, blady unikał jej wzroku i po chłopsku odwracał twarz od jej niebieskich oczu.

Elżunia nie przeczuwając treści sprawy, którą Spychała przerwał ich lekcje, kontynuowała ćwiczenia w salonie rzucając w rozpalone powietrze czyste interwale wokalizów. Spychała podniósłszy oczy na Olę zobaczył, że usta krzywiły się jej zupełnie dziecinnie i wyglądała nie na szesnaście lat, ale na dwanaście. Wzruszony powiedział biorąc ją za rękę.

— Teraz nas wojna rozdzieli. Czy pani na mnie poczeka?

— Poczekam.

Pomimo wzruszenia Ola wypowiedziała to słowo wyraźnie, mocno i z zupełnym przekonaniem. Spychała uścisnął jej dłoń, miał wrażenie, że wzruszona dziewczyna czeka na pocałunek, ale tym bardziej nie chciał na to sobie pozwolić.

— Kiedy już wrócę, kiedy będziemy razem, wtedy panią pocałuję — powiedział.

— Dobrze.

Ola szepnęła to słówko jak dziecko, jak grzeczna uczennica, ale Spychała wstrząsnął się jak gdyby wysłuchał przysięgi. Ola uśmiechnęła się i nagle głosem doświadczonej kobiety zapytała:

— Ale pan mnie nie zawiedzie?

— Nigdy, przenigdy.

— To dobrze — powtórzyła już innym tonem — a teraz nim pan się zacznie pakować, chodźmy do salonu, zaśpiewam panu coś.

Przerwali Elżuni jej ćwiczenia i Ola poprosiła ją, aby zechciała jej akompaniować do „Ukrytej miłości". Elżunia usiadła do fortepianu bez wielkich nadziei, ale chętnie. Pierwszy frazes w ustach małej Oli zabrzmiał niepewnie i z wysiłkiem, ale nagle owa kwarta „o lass" wyszła tak pięknie, pełnymi piersiami i wiolonczelowym brzmieniem. Pieśń w ustach Oli brzmiała coraz pewniej i pełniej. Elżunia siedząc przy fortepianie czuła jak za jej plecami dzieje się coś i wzrasta, dreszczem ją przenika — ze zdziwieniem obejrzała się i zobaczyła za sobą Olę spokojną choć bladą, z twarzą podniesioną do góry i z oczami pełnymi przeźroczystych łez. Spychała siedział w kącie pokoju rozstawiwszy szeroko swoje cienkie nogi i trzymając się oburącz za chude skrzynie obciągnięte żółtą skórą.

*) Granica rumuńsko-rosyjska przed wojną 1914 r. (red.).

SPECJALIŚCI

W obliczu zimy postanowiłem doprowadzić do porządku mieszkanie. Było do zrobienia to i owo, a przede wszystkim należało naprawić piec, który odmawiał posłuszeństwa dymiąc przeraźliwie i nie grzejąc. Przyszedł więc przysłany przez dozorcę starszy, szpakowaty majster. Popukał, podmuchał i rzekł, że nie ciągnie i że trzeba przestawić.

Spytałem, ile to będzie kosztowało, ale majster jakby nie słyszał. Wsadził jeszcze rękę w otwór pieca i ni to do siebie, ni to do mnie rzucił:

— Przydałoby się pół patyka...

— Ależ dam panu nawet całą deskę — ucieszyłem się, że majster nie przywiązuje wagi do pieniędzy. W kuchni leży całówka...

— Mnie nie chodzi o drzewo, ale o pieniądze — od-

parł mierząc mnie pogardliwym spojrzeniem. Patyk — to tysiąc złotych, rozumie pan?

Zrozumiałem i pomyślałem, że nie wiadomo co gorsze. Piec, który nie ciągnie czy majster, który c i ą g n i e.

Sąsiad, któremu zwierzyłem się z kłopotu, orzekł, że był to na pewno „dziki" rzemieślnik, że najlepiej sprowadzić zarejestrowanego. Zjawił się niebawem specjalista, popukał, podmuchał i orzekł, że nie ciągnie. Gdy przezornie zapytałem go o cenę, oświadczył z godnością, że zarejestrowane firmy pracują według ustalonego cennika. Dodał jednak, że o ile nie „postawię" pół litra, piec będzie nadal dymić...

Chciałem znów zrezygnować, ale wtrąciła się żona. Powiedziała, że nie ma zamiaru marznąć z dziećmi, a zresztą w kredensie stoi jeszcze zapas alkoholu z rocznicy ślubu. Ustąpiłem.

Potem przychodzili kolejno: ślusarz, malarz, szklarz. Wszyscy wykazywali zdumiewającą solidarność. Trzymali się ustalonego cennika, ale każdy znacząco mrużył oko i charakterystycznym gestem przytykał w gardło. Trudno, nie miałem innego wyjścia. Zresztą obliczyłem, że to i tak taniej wypada niż zwracać się do „dzikich"

Zostały jeszcze drobne instalacje elektryczne. Ale sytuacja wyglądała niezbyt różowo. Zapasy w kredensie wyczerpały się, tak samo jak gotówka przed pierwszym. Ale cóż, bez światła żyć trudno...

Przyszedł młody blondyn, o marzycielskim spojrzeniu błękitnych oczu; „tacy są najgorsi" — pomyślałem, bogaty już w doświadczenia.

Tymczasem blondyn skrupulatnie wymierzył i wyliczył wszystko, co należy i powiedziawszy ile to będzie kosztowało, zdjął marynarkę, by zabrać się do roboty.

— Zaraz, zaraz — chwyciłem go za rękę. — A jak będzie z tym? — i znacząco przytknąłem w gardło.

Zmarszczył brwi. — Nie rozumiem, o co panu chodzi... — rzekł.

— Dobry sobie — zaniepokoiłem się. — Niby nie rozumie pan? A potem instalacja

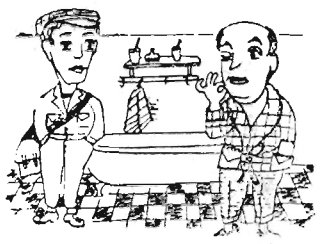

nie będzie działała, co? Ja się na tym znam, ja już wiem, że bez ćwiartuchny żaden remont nie wyjdzie. Nawet najmniejszy. No więc, jak będzie?

— Pan wybaczy, ale nie wiem, co tu ma wódka do roboty. I w ogóle uważam, że postępuje pan niewłaściwie, rozpijając rzemieślników!

Zrobiło mi się przykro. Okazuje się, że specjaliści też bywają różni. Tacy od naciągania i tacy — jak mój młody elektrotechnik — specjaliści od fachowej, uczciwej roboty!

ADAM OCHOCKI

Szachy

W turnieju szachowym o mistrzostwo Polski na rok 1956 zwyciężył młody, utalentowany student z Lublina J. Gromek. Niespodzianką w tym turnieju było zajęcie 9 miejsca przez 5-krotnego mistrza Polski B. Śliwę. Był on jednak przemęczony ciężkim turniejem w Goeteborgu. Mimo przejściowego spadku formy jest on jednak nadal naszym najbardziej utalentowanym szachistą. Podajemy partię zwycięzcy turnieju:

Białe: J. Gromek — czarne: D. Doda 1. e4 c5 2. Sf3 d6 3. d4 c x d4 4. S x d4 Sf6 5. Sc3 a6 6. Gc4 e6 7. o — o Sc6 8. Ge3 (można również 8. Gb3 Hc7 9. f4 S x d4 10. H x d4 d5 11. Ge3) 8... Ge7 9. Gb3 o — o 10. f4 Sa5 (czarne dążą do wymiany Gb3) 11. Hf3 Gd7? (lepszym było 11... Hc7. Po posunięciu w tekście białe dochodzą do e5) 12. e5 Se8 13. Wad1 S x Gb3 14. a x b3 d6 x e5 15. f4 x e5 Hc7 16. Kh1 Wad8 17. Gf4 Gc5 18. Gg5 f6 19. g x f6 S x f6 20. He2 (białe atakują izolowanego piona e6) 20... G x d4 (ta wymiana utrudnia czarnym obronę) 21. W x d4 Hc5 22. G x f6 W x f6 23. Wf — d1 He7? (błąd, jednak i po 23... Hc7 partia czarnych jest przegrana) 24 Sd5 i czarne poddały.

I. Z.

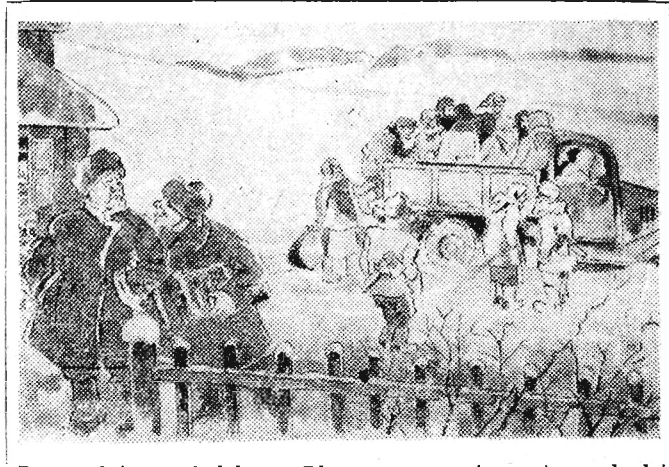

Przewodniczący kołchozu: Dlaczego wasza żona nie wychodzi do pracy?
Buchalter: Dlatego, że waszej żonie przykrzyłoby się samej w domu.
z „Krokodyla"

Nie trudno zgadnąć

KRZYŻÓWKA

(wg pomysłu Janusza Adamczyka z Mielca)

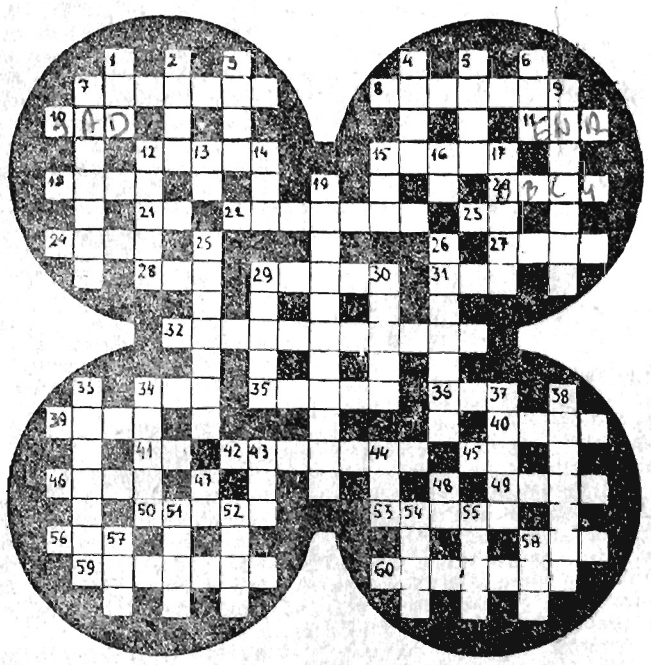

POZIOMO: 1. sztuka sądowa, 8. spis wyrazów, 10. dużo drzew, 11. najstarsze imię kobiece, 12. kołek metalowy, 13. samiec jednokopytkowych, 18. ..... — Tekel — Fares, 20. nietutejszy, 21. litera grecka fonetycznie, 22. przykra mara senna, 23. jednostka oporu, 24. nie martwe, 27. bożek miłości, 28. jest na każdym obrazie, 29. drzewo z rodziny brzozowatych, 31. narząd wzroku, 32. ma 64 pola, 34. może być „mleczny", 35. wejście, 36. jarzyna, 39. spis potraw, 40. napój wyskokowy, 41. symbol średnicy fonetycznie, 42. prędki, nieobliczalny, 45. rzeka w Syberii, 46. bywa też „do popisu", 49. syn Dedala, 50. dawny polski pieniądz, 53 jest w kinie, 56. rzeka wsławiona w naszych pieśniach żołnierskich, 58. autor „Astronautów", 59. kraina w Hiszpanii lub tytuł piosenki, 60 broń palna.

PIONOWO: 1. dola, 2. otwór w ścianie, 3. części doby, 4. narzędzie rolnicze, 5. pasą się na halach, 6. przeczenie, 7. bezwzględny a ślepy wyznawca pewnej idei, 9. ptak, 12. nakrycie głowy, 13. nuta, 14. opłata, 15. owad, 16. muł rzeczny 17, kochał Julię, 19. miasto w Polsce, 23. budynki mieszkalne dla wojska, 26. pomysł, 29. miejscowość pod Krakowem (malownicze skały), 30. małe państwo europejskie, 33. nabożnisia, 34. na zabawach „obfity", 37. duchowny żydowski, 38. stan cywilny, 43. miara powierzchni, 44. w biblii ratował przed potopem, 47. symbol chloru, 48. miara powierzchni, 51. ważny kolor w grze w karty, 52. główna melodia w operze, 54. zwierzę domowe, 55. rzeka w Syberii, 57. starsze od króli, 58. roślina uprawna.

* * *

Za trafne rozwiązanie krzyżówki przesłane do 14 dni z dopiskiem przy adresie Redakcji „Rozrywki Umysłowe" przeznaczone są do rozlosowania 3 nagrody w postaci bonów książkowych.

ROZWIĄZANIE ZAGADEK z Nr 45 (291)

Kombinatka: „Trwa Rok Mickiewiczowski" (ameba, Aida, asceta, akwarium, mleko, odważnie, emocje, egzekwować, ćwiek, książka, aspirant, trwożliwie, etat, TPPR, rozmowa, arkada).

Wiele mówiący podpis: „studentka, dentystka, Turkestan".

Nagrody za trafne rozwiązanie zagadek otrzymują:

Z nr 44 (290) — Janina Mrowiec — Jarosław, Eugeniusz Ortel — Złotniki, Jan Słabik — Turaszówka.

Z nr 45 (291) — Leopold Olearczyk — Rzeszów, Stefan Lenkiewicz — Strzyżów, Teresa Baran — Rzeszów.

KONSTANTY ILDEFONS GAŁCZYŃSKI

Złudzenie popularności

Pewnego dnia
(a dzień był piękny jak skrzypce)
szedłem sobie spacerkiem
przez place i przez ulice.

W parkach grały kapele.
Rzecz się działa w niedzielę.

Lecz co mnie zastanowiło,
można powiedzieć, ogromnie.
to to, że wszyscy tak miło
się uśmiechali do mnie;

czy kto szedł pieszo, czy jechał,
każdy się do mnie uśmiechał.

Hm — myślę — hm... w rzeczy samej
cóż to jest? Popularność.
Popularność nad popularnościami
i wszystko popularność.

To pewnie ten mój poemat,
co go na sercu noszę.
O, rozkosze! O, nieba!
O. nieba! O, rozkosze!

A może, może przez eter
puścili coś całym światem,
że „powitajmy poetę",
że „czcijmy", że, „onorate".

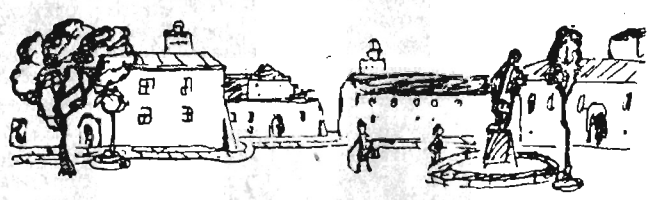

I przez to tak w bębny biją,
I przez to tak czczą laurowo;
przez to uśmiechy. Triumf
na skalę wszechświatową.

Dopiero pewien facet,
kiedym zapytał go się,
rzekł: — Wyszedł pan na spacer
z wielką plamą od atramentu na nosie.

Nowiny Tygodnia radzą

OBEJRZEĆ

Po udanej premierze sztuki Skowrońskiego „Maturzyści" — Państwowy Teatr Ziemi Rzeszowskiej przygotował nową premierę. Jest nią „Intryga i miłość" Fryderyka Schillera. Ta znana pozycja repertuaru klasycznego, przygotowana została reżysersko przez Hugona Morycińskiego, z bogatą oprawą plastyczną oraz trafną obsadą aktorską.

* * *

Najnowszy polski film fabularny o tematyce sportowej według scenariusza dwóch znanych dziennikarzy sportowych B. Tomaszewskiego i J. Suszki pt. „Zaczarowany rower". Film wchodzi wkrótce na ekran kina „Apollo" w Rzeszowie.

PRZECZYTAĆ

Naprawdę warto sięgnąć ponowo wydaną przez „Czytelnika" (cena 10 zł) książkę Jana Parandowskiego pt. „Niebo w płomieniach". Ten utwór z okresu XX stulecia należy do trwałego dorobku literatury polskiej i nabiera już cech utworu klasycznego. Jest to powieść o dojrzewaniu umysłowym i fizycznym młodego ucznia galicyjskiego, którą można postawić obok najwybitniejszych powieści typu „młodzieżowego" — dla dorosłych. Lektura powieści przyjemna i pożyteczna.

Stali czytelnicy tygodnika „Przekrój" z pewnością znają felietony Marii Zientarowej i rubrykę Jana Kamyczka „Demokratyczny savoir vivre" — obecnie, utwory tych autorów ukazały się w wydaniu książkowym.

POSŁUCHAĆ

Nie wychodząc wcale z mieszkania można nie tylko posłuchać dobrej muzyki, ale też ubawić się treścią komedii. Po prostu — wystarczy mieć w domu radio i 24. XII. o godz. 20.40 nastawić odbiór na Warszawę — program I. W tym właśnie czasie Polskie Radio nada interesujące słuchowisko według komedii „Marcowy kawaler" Józefa Blizińskiego — autora „Pana Damazego", „Rozbitków" i in. Obsada: Jerzy Leszczyński, Aleksander Dzwonkowski, Franciszek Dominiak oraz reżyseria Jerzego Leszczyńskiego — gwarantują doskonałą zabawę przy głośniku...

Posiadaczy głośników radiofonii przewodowej zachęcamy do wysłuchania „koncertu życzeń", który nada Polskie Radio Rzeszów 25 grudnia o godzinie 19.30. M. in. w audycji tej usłyszymy oryginalne nagrania gitar hawajskich, słynne orkiestry jazzowe i... Marię Koterbską z najnowszymi nagraniami piosenek.

WALNE WYBIELANIE

Jesienne walne zebranie członków Gminnej Spółdzielni SCh w Tyczynie miało przebieg nieco burzliwy. Zacni członkowie zarządu zmuszeni byli wysłuchać wiele arcyniemiłych uwag dotyczących ich niezbyt chlubnej działalności. Ze słów tych wynikało bowiem, że sam prezes zarządu ob. **Augustyn Opioła** zatuszował mówiąc językiem handlowym „grubsze manko", które „zaistniało" w sklepie prowadzonym przez bliskiego krewnego ob. prezesa.

Tenże prezes wsławił się wystawieniem kwitu opiewającego na sumę 4 tys. zł — za dostarczone do GS jaja. Jaj tych co prawda nikt nie dostarczył, ale kwit został wystawiony, przy czym okoliczność, że owym rzekomym dostawcą był bliski „znajomy" ob. prezesa, podobno nie ma znaczenia.

Inny członek zarządu ob. **Kazimierz Szczęch** okazał się człowiekiem o niesłychanie „miękkim" sercu i subtelnej wyrozumiałości dla ludzkich wad. Toteż delikatny ów mąż pisywał remanenty, nie w sklepie, lecz w domu i to na podstawie „danych" przedstawionych przez zainteresowanych sprzedawców.

Ale i kiedy zdarzało mu się uczestniczyć w remanencie sporządzanym w sklepie — potrafił zawsze w odpowiednim momencie taktownie przymknąć oczy. Tak było właśnie w momencie, kiedy sprzedawczyni **Anna Siwiec** „przelała" skromną superatę z kasy do własnej kieszeni. Co prawda później okazało się, że zamiast superaty sklep miał ok. 3 tys. złotych manka, ale po co wnikać w takie subtelne różnice?

Drugi członek Zarządu ob. **Mieczysław Synoś** tak pieczołowicie zaopiekował się saletrzakiem, że cenny ten nawóz rozpłynął się, co prawda nie tyle ze wzruszenia ile z wilgoci.

Wszystkie te sprawy „wyszły" na walnym zebraniu. Zdawałoby się, że zarząd ustąpi. Ale gdzie tam. Od czegoż są znajomi? Otóż owi znajomi z niejakim **Józefem Łyko** na czele dali nie lada popis krasomówstwa. Potrafili oni w sposób błyskotliwy i nie znoszący sprzeciwu „udowodnić", że zarzuty te aczkolwiek prawdziwe, nie świadczą jednak by najmniej o złej pracy zarządu GS w Tyczynie.

Zarząd został w identycznym składzie wybrany ponownie. I jak tu nie wierzyć w potęgę słowa mówionego?

Na podstawie koresp.
Józefa Dudka
opracował **Kiel.**

Korespondencje Korespondencje

TOWARZYSZU REDAKTORZE!

Mamy w Gorlicach zakład wulkanizacyjny, którego właścicielem jest Alfred Wacławski. Obywatel ten jest również dyrektorem Muzeum miejskiego w Gorlicach. O ile jako właściciel zakładu jest — jak mówią klienci — dobrym fachowcem o tyle postępowanie jego jako dyrektora Muzeum zasługuje na surową naganę. Świadczy o tym następujący fakt: W b. gminie Ropa żył przed kilkunastu laty ob. Antoni Hypel, artysta-rzeźbiarz, który umierając zapisał swe pozostałe prace (rzeźby) Muzeum w Krakowie. Muzeum Krakowskie zrzekło się jednak przyjęcia tego legatu na korzyść nowopowstałego Muzeum miejskiego w Gorlicach.

I tak w sierpniu 1954 r. zjawił się u mnie ob. Wacławski i wykazawszy się pismem upoważniającym zabrał w niewielkich odstępach czasu kilkanaście sztuk rzeźb obiecując solennie przysłać na moje ręce wykaz tychże z potwierdzeniem odbioru oraz specjalnym podziękowaniem.

Tymczasem minęło od tego czasu kilka miesięcy, a ob. Wacławski nie przysłał żadnego wykazu. Wybrałem się zatem do Gorlic i zainterpelowałem dyrektora, dlaczego dotychczas nie przysłał potwierdzenia odbioru, na co mi znowu solennie przyrzekł, że prześle go niezwłocznie.

Od tego czasu byłem jeszcze 5 razy u ob. Wacławskiego i zawsze kończyło się to na obiecankach. W końcu wybrałem się jeszcze raz do Gorlic (7. XII. 55 r.) Ob. Wacławski odpowiedział mi, że nie ma czasu, że przedmioty są na strychu (ładny porządek) i musi je dopiero uporządkować.

Jak więc można nazwać postępowanie dyrektora? Czy on mając blisko półtora roku czasu nie mógł zdobyć się na poświęcenie kilkunastu minut aby sporządzić wykaz? Zarząd Muzeum Okręgowego w Rzeszowie winien wyciągnąć z tego faktu konsekwencje i zobowiązać ob. Wacławskiego do przedłożenia wykazu. Takiego dyrektora należałoby umieścić w muzeum osobliwości.

WŁODZIMIERZ MAYER